

Jan Herman

Felieton – Moja Polska

By nasza rzeczywistość opierała się na rzeczywistej swobodzie niekomercyjnej inicjatywy obywatelskiej. Wiem, słowo "kolektyw" brzydko pachnie... Zacznę od razu od tezy głównej: pomijając egzaltacje i ćwiczenia praktyczne nazwane potem „socjalizmem utopijnym” – idee socjalistyczne dojrzewały pośród inteligencji ziemiańskiej (w Polsce Staszic, Abramowski i wielu innych), rzadziej przemysłowej. Socjalizm polski jest też „wyrostkiem” na ciele substancji ruchu ludowego.

Nie jest to żaden powód ani do kompleksów, ani to przesadnej skromności. Równie dobrze możnaby zarzucać, że kolebką liberalizmu jest świecka arystokracja przemieszana z żywiołem kupieckim i bankierskim. Zawsze idee rodzą się jako reakcja co wrażliwszych społecznie na amoralia i sprzeczności ekonomiczne formacji dotychczasowych, zastanych. Jak coś jest nowe – to nowe, czyli zrodzone na starym.

Dlatego – na przykład – z rezerwą podchodzę do publikacji wskazujących na rozmaite „resortowe” genealogie. W domach elit łatwiej było młodzieży zarówno pobierać nauki, jak też tworzyć nowe idee. Dopiero „po owocach poznajemy”, czy w człowieku dorastającym zwyciężyło dobro i przyzwoitość – czy raczej staje się on kontynuatorem paskudztw, pośród których wyrastał.

Oczywiście, nie brakuje w ruchu socjalistycznym aktywistów z gruntu proletariackich, wykształconych na własnych, robociarskich czy parobczarskich doświadczeniach i obserwacjach, na lekturze „bibuły”, na spotkaniach sekretnych przy świecy albo lampie naftowej, na „amatorskich” próbach buntu. Ja na przykład odrzucam tę część ruchu socjalistycznego, która wiąże się z terroryzmem (grzeczniej: akcją bezpośrednią), a lgnę do tej części, która działalność codzienną opierała na próbie zrozumienia świata, procesów społecznych, kondycji ludzkiej. I nie uważam się przez to za kogoś lepszego czy gorszego, po prostu to jest mój wybór.

Lewica nie jest ani jednorodna w swoim łonie, ani jedyna. Z podmiotów aktywnych dziś w Polsce (AD 2019) większość „znaczącego politycznie” aktywu ma dużą rezerwę (albo wprost nieznaną) do opracowań klasycznych dla doktryny, stąd są w odwrocie takie konsekwencje buntu przeciw wyzyskowi albo niesprawiedliwości społecznej, jak teoria klas społecznych czy dążenie do obumierania państwa pod naporem obywatelskiej samorządności – choć młodzież garnie się do „rewolucji”, czyli akcji ulicznych albo innych środków nacisku na wytypowane przedsiębiorstwa i urzędy-organy-służby (niekoniecznie tajne).

Mówi się o potrzebie sformułowania nowego języka, nowej siatki pojęciowej. Mówi się o tym, że niemożliwe jest odtworzenie tego, co jest naszą, socjalistyczną dumą z czasów międzywojennych. W moim przekonaniu równie dobrze możnaby w ogóle zerwać z tradycją i budować kompletnie NOWE.

Otóż nie: dobrze byłoby zauważyć, że np. Kapitał powstawał jako owoc nauk pobieranych w dziedzinie ekonomii przez Marksa z konceptu Quesnay’a, w opozycji do dzieła Smitha, już wtedy przewłaszczonego przez liberałów.

Marks tworzył w czasach, kiedy dominującą treścią Pracy było proste, nie-technologiczne przetwórstwo: powszechnością była już energetyka parowa (silnik tłokowy Newcomba-Watta), ale elektrotechnika była w kołysce, automatyka raczkowała w postaci choćby nowatorskich

drobiazgów w dziedzinach tkackich, koncept żarówki rodził się na oczach Marksa (M. Jobard, R. Grove, H. Göbel, JW. Swan). Przejście od gospodarki opartej na rolnictwie oraz produkcji manufakturowej bądź rzemieślniczej do mechanicznej produkcji fabrycznej na dużą skalę (przemysłową) – nie było „historią”, tylko „teraźniejszością”, było naocznym doświadczeniem Marksa i jemu podobnych obserwatorów. Kwitła racjonalizacja i wynalazczość, ale jej owoce zbierała zaledwie elita rodzącego się przemysłu, masa przedsiębiorcza dopiero „zbierała drobne” na przebudowę czegoś, co z czasem nazwano „parkiem maszynowym”.

Warto zatem przyglądać się „socjalizmowi naukowemu” jako dziełu tworzonemu na bieżąco, w oparciu o obserwację gorącego tygla, a nie o „archeologię”. Nie twierdzę, że Marks się mylił, ale twierdzę stanowczo, że część jego konceptu opierała się na opisie tu-teraz rzeczywistości, a to zawsze oznacza swobodę interpretacji i dowolność w ocenie tego co ważne, „niedojrzałość notatek”. Zawsze mnie intrygowało – na przykład – niemal literackie zainteresowanie Marksa „buszlami zboża”

Szczególnie dotyczy to zagadnienia wyzysku. W moim przekonaniu zakłęty jest on w instytucjach społecznych, a nie w drapieżności kapitalistów. Oczywiście, to oni stymulują zarówno instytucje społeczne (obyczajowość) jak też mają walny wpływ na tworzenie prawa, ale mówimy o ustroju, a nie o kampanii opresji wobec proletariatu. Marksowi zawdzięczamy choćby tę wiekopomną uwagę, iż kapitalista „musi” wyzyskiwać, bo jeśli sobie tę konieczność „odpuści” – wypadnie poza branżę, ostatecznie dołączy do „służby”, przestanie być animatorem.

Socjalizm polski – paradoksalnie – rodził się organizacyjnie na Zachodzie, w Europie, w tym sensie był blisko idei marksowskich, doświadczał ich „organoleptycznie”, dyskutował je na bieżąco. Na polski grunt został zasiany w dojrzałej formie, a grunt ten nie był jałowy, że wspomnę działalność Staszica. Wyzwolenie narodowe było możliwe między innymi dzięki Komitetom Obywatelskim, których feeria wybuchła wraz z I wojną światową. One zaś otworzyły drogę do silnej pozycji polskiej lewicy międzywojennej, która w „niepisanym porozumieniu” z ruchem ludowym kreowała dziesiątki form organizacyjnych, a w każdej z tych form – setki, może tysiące „egzemplifikacji”.

Tak właśnie socjalizm stawał się popularny: jako realna alternatywa dla rodzących się korporacji mega-biznesowych. W tym zresztą upatruję mściwych opresji piłsudczyków wobec socjalistów i ludowców w drugiej połowie międzywojnia. Może to zabrzmieć obrazoburczo, ale międzywojenne elity były najprawdopodobniej przesyczone agenturą (wpływu?) zachodniego kapitału. Opresyjność wobec idei samorządności, z wykorzystaniem pejoratywnego określenia „anarchizm” – staje się w tym kontekście zrozumiała.

* * *

Można i trzeba odtwarzać doświadczenie socjalizmu międzywojennego. Powojenne tłumienie samorządności robotniczej i ludowej (pod fałszywym zawołaniem „partii robotniczej” czy „Polski ludowej”) – należy uznać za zbrodnię na sumieniu polskim, której nie chcą zauważyć socjaliści, lewicowcy, więc ocenę tej „operacji” zawłaszczyli „rynkowcy-wolnościowcy-demokraci”. I po swojemu zbrukali pamięć o zdeptaniu samorządności.

Nie bałbym się DOSŁOWNEGO przeniesienia tej feerii inicjatyw socjalistyczno-ludowych na grunt dzisiejszy. Używam – od pewnej konferencji naukowej w Łomży – pojęcia REMUTUALIZACJA, które wydaje się obce, ale trafia w sedno: chodzi o przywrócenie elementarnych umiejętności społecznych opartych na dobrosąsiedztwie, samopomocy, kooperatywności, wzajemnictwie – jako przyjazna dla prostych ludzi, dla „maluczkich”,

przeciwwagi dla niszczącej DEMUTUALIZACJI, wypierania form rodzinnych i spółdzielczych oraz stowarzyszeniowych – przez formułę spółki akcyjnej i tej z ograniczoną odpowiedzialnością.

Oczywiście, przeniesienie wprost międzywojennego nazewnictwa – nie oznacza „zafiksowania”, tylko jest pochwałą osiągnięć. Dziś świat jest inny, pełen nieznanych gadżetów w dziedzinie digitalizacji, informatyki, elektroniki, wyposażenia mieszkań, pomieszczeń biurowych i produkcyjnych, pełen nowej infrastruktury użytkowej.

Mój osobisty „program” – to obniżenie „pułapu odbicia” redystrybucji (od centrum państwowego do poziomu samorządów, nie mylić z administracją lokalną) i jej przebudowa z podatkowo-akcyzowo-skarbowej w postać składek publicznych (public collections). Nie ma dobrego powodu-uzasadnienia dla „warszawskiego” sterowania nawet drobnymi okolicznościami życia społecznego, ze swej natury wszak „oddolnego”.

Mięsem obywatelskiej samorządności niechby było – tak sędzę – mrowie społeczności sołtysovskich (sołeckich). W moich oczach to jest jedyna już ostoja nieskażonej „strukturami” samorządności. Tam powinny – ostatecznie – instalować się spółdzielnie komunalne, czyli środowisteczka dobrosąsiedzkie, samopomocowe, wzajemnicze, składkowe. Wzorce dla nich niechby powstawały początkowo w przestrzeniach zaludnianych przez „wykluczonych” i „zagrożonych”.

Na koniec – wspomnę o instytucji Społecznego Ławnika Praw człowieka i Obywatela. Instytucji społecznej, a nie państwowej, danej nam dziś np. w postaci Rzeczników (praw obywatelskich, praw konsumenta, praw pracownika, praw pacjenta, praw dziecka, praw kobiet, itd.). Niechby taka instytucja – w postaci korpusu wybieralnych ludzi zaufania społecznego – jako alternatywa dla tych „państwowych” rzeczników wywalczyła sobie prerogatywę „weta ławniczego”, czyli natychmiastowego przerwania procedur (np. windykacyjnych, aresztowych, egzekucyjnych) – do czasu uzyskania opinii środowisteczka...

Socjalizm ma przed sobą przyszłość. Jeśli zrezygnuje z walki o pozycjonowanie w takim Państwie, jakiego właśnie Polska doświadcza... Potrzebne jest inne, równoległe, obywatelskie, oparte na samorządach...

By nasza rzeczywistość opierała się na rzeczywistej swobodzie niekomercyjnej inicjatywy obywatelskiej. Wiem, słowo "kolektyw" brzydsko pachnie...

Jan Herman

Więcej:

<https://publications.webnode.com/news/tozsamosc-socjalistow/?fbclid=IwAR3ebUfovnen40khRQuC30O2ZJRAIcAr9ICFMesp3wL70Fj9KOJMXwfcG-8>